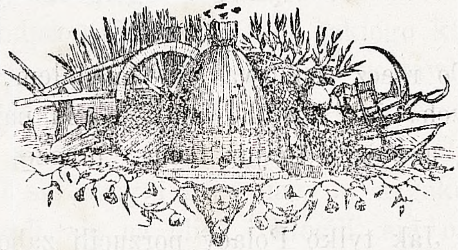
Tom X. Nr. 3.

21. Stycznia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Rozmowa o pogrzebach.

Było to w niedzielę po nieszporach, gdy gospodarz Ignacy przyszedł do dobrodzieja, niosąc coś w chustce. Pochwalił Pana Boga, skłonił się nizko i rzekł: „Jakem wczoraj wykopywał kamienie na mojem polu, między wielu skorupami wykopałem i ten garnek, co go tu mam w chustce. Rozumiałem, że w nim będą pieniądze, a tu popiół i kostki. Niech dobrodziej z łaski swojej zobaczy jak to wygląda.

Skoro Ignacy chustkę rozwiązał, zawołał proboszcz: Ha, ha! to widzicie są popioły ze spalonego człowieka.

— Może to z czarownicy, zawołał Ignacy, boć je pono dawniej palili?

Proboszcz: Tak, dawnemi czasy, nietylko u nas, ale i w innych krajach byli ludzie tak zaślepieni, że palili i to urzędownie, kobiety, o których mylnie rozumiano, że były czarownicami; ale te popioły w tem tu naczyniu nie są z mniemanej czarownicy. Nasi starzy Polacy, nim zostali chrześcijanami, to nie chowali w ziemię ciał swoich zmarłych, tylko je

na stosach palili, a zebrawszy potem popioły i szczątki kości w takie je naczynia sypali, i dopiero składali w ziemię. Ten zwyczaj palenia ciał zmarłych, u wielu narodów pogańskich panował.

Ignacy: To rzecz osobliwa, ja myślałem, że zawsze tak chowali umarłych, jak my chowamy, a oni palili i to jeszcze i nasi ojcowie, a dawno to już temu, proszę dobrodzieja jak poprzestali?

Proboszcz: Jak tylko Polacy porzucili zabobony pogańskie i zostali chrześcijanami, poprzestali palić ciała zmarłych, tylko je chowali tak jak my chowamy, bo tak przepisuje wiara nasza święta, abyśmy ciała w Bogu zmarłych z uczciwością grzebali i strzegli je od wszelkiego gwałtownego uszkodzenia lub zniszczenia. Prawda że te ciała zmarłych nie mają żadnego czucia, że rychlej czy później w proch się obrócą, że im nic nie szkodzi, ani uszkodzenie ani zniszczenie, przecie dla ich uszanowania powinniśmy strzedz je od wszelkiej zniewagi, gdyż święty Paweł apostoł powiada: że ciała wiernych są kościołem, mieszkaniem Ducha Świętego. Nadto, wszystkie dusze zmarłe z woli Wszechmocnego Boga przywdziewają na sąd ostateczny ciała swoje, które odtąd będą nieskazitelne, nieśmiertelne; powinny wiec być i u nas w uszanowaniu.

Ignacy: Prawda, prawda; człowiek nie zwierzę; choć się dusza z ciałem rozstanie, to się znowu połączy i żyć będzie na wieki, byle tylko szczęśliwie!

Proboszcz: Oto się też mamy całe życie starać moi, abyśmy zbawionymi byli i pogrzeby powinny nas zachęcać do tego: „*Co tobie dziś to mnie jutro,*“ niech sobie każdy przy pogrzebie powie, a powie z uwagą, a odstąpi od nałogów grzechowych.

Ignacy: Mój Boże! a któżby przy pogrzebie nie pomyślał o śmierci!

Proboszcz: Pomyśli każdy; ale mało jest takich coby o swojej śmierci pomyśleli, coby ztąd dla siebie odnieśli pożytek. Uderzyć się w piersi i powiedzieć sami: małoć jest takich co uczęszczają na pogrzeby nie z miłości jadła i picia. Ledwo trumnę do połowy ziemią przysypią, dokądże całe zgromadzenie

dąży? do domu zmarłego, albo do karczmy, — po co? czy na posiłek? — nie, na zbytki, a te nie są potrzebą ale zgubą. Czemu i to przy ubogiego pogrzebie nie ma czasem, ktoby ciało do grobu odprowadził, nie ma takiego ktoby do ziemi spuścił, ktoby przysypał! bo on nic nie zostawił, bo po jego pogrzebie nie będzie stypy; nie prawda mój bracie?

Ignacy: Oj prawda dobrodzieju! prawda! Otóż na pogrzebie Walka popili się obcy i krewniacy w szynkowni, darli się za łby, wywłóczyli się na ulicę i kłócili się o to co po nim zostało.

Proboszcz: Tak, powiadano mi o tem! bolało mnie to zgorszenie i boli dotychczas! bo nie po chrześcijańsku, ale po pogańsku postąpili sobie. Dawne książki opisują nam, że pierwsi chrześcijanie licznie się schodzili na pogrzeby, ale nie dla jadła i picia, lecz dla modlitwy, bo byli wskróś przejęci tą prawdą Pisma Świętego: że świętą i pożyteczną jest rzeczą modlić się za umarłych.

Nie pytali się oni, kto umarł, czy bogaty, czy ubogi, dosyć że chrześcijanin i nietylko się modlili za nich, ale i zajmowali usługą pogrzebową, której nawet i opuszczonym poganom nie odmawiali, rozumie się bez obrządków religijnych. Chowali ich, ale nie tam, gdzie się chrześcijanie chowali, nie na cmentarzu, bo cmentarz ten był tylko przeznaczony dla prawowiernych katolików.

Ignacy: A kiedy który nie żył i nie umarł po chrześcijańsku, czy go też na cmentarzu chowali?

Proboszcz: Nie, tylko na innem, nie święconem miejscu bez żadnych obrządków kościelnych; ale musiał być znany jako publiczny grzesznik, zmarły bez pokuty.

Ignacy: Proszę dobrodzieja, a czemu i teraz takich co się sami utopią, zabijają, powieszą i najbezbożniejsze życie prowadzą, a chowają ich na cmentarzu?

Proboszcz: Kościół tego nie pochwala, a w każdym podobnym razie, zakazuje kapłanom obrządków religijnych nad takiem ciałem zmarłem odprawiać, co bez najmniejszego znaku pokuty zszedł z tego świata. I słusznie! toćby to i dziwnie wyglądało chować kogo po chrześcijańsku, kiedy każdy wie,

że nie był chrześcijaninem, tylko tak się niby zwał, a czasem jeszcze i szydził z świętej wiary i obrządków kościoła.

Ignacy: A cóżże teraz mam zrobić z tym garnkiem?

Proboszcz: Możecie go u mnie zostawić; ja wam zań zapłacę, bo to rzecz starożytna i godna zachowania.

Ignacy: A broń mnie Boże żebym za to miał brać pieniądze. Niechże tu zostanie, dyć ja i tak mam do podziękowania za naukę i przestrogi. *(Kmiotek.)*

MAZUR.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna żyzna i nie mała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

Bo gdzie takie cudne stroje,
I spiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie.

Po za Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnie podkasały,
A Odraki lud zmiemczały;
A więc nasza, nasza góra,
Nie masz w świecie nad Mazura!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze,
Przyspiewują jej flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,
Sławne konie w Ukrainie;
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Wioząc z konia biczem trzaśnie?!
Kiedy jedzie do Warsęgi
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!

Tęgi Mazur wej w pokoju!
Lecz się przyda i do boju,
Znane w Polsce kosyniery,
I do boju Mazur szczery,

Gdy do kosy się przyłoży
Tnie Moskala jak gniew Boży.

Dana, dana, dana, dana,
Za ojczyznę miła rana!
Prędzej zginą rzeki, góry,
Niźli Polska i Mazury;
Bies cię porwie Mikołaju,
A swoboda będzie w kraju.

I zanucą w Polsce ludzie
O Mazurach i o cudzie;
Bo Bóg żeby świat dziś tworzył,
Już z Mazurów by go złożył,
A pośrodku nich niecnotę
Mikołaja, na zgryzotę.

(Z Pieśni Janusza.)

ŚWIĘTOJAŃSKIE JAGODY.

Będzie temu kilka lat, jakoś na początku czerwca, a ślicznie było na Bożym świecie, w niedzielę po południu obrywaliśmy jagody w sadzie z rańszych czereszeń. O tej porze najpiękniej, gdzie spojrzeć po ziemi bujno, zielono, kwiecisto; łany zboża kłaniają się jak lasy, od róż i zioł aż pachnie w powietrzu, słowik kończy jeszcze swoje majowe pieśni, a zazula przedziera się po sadach i gajach. Aż miło na sercu i pilno westchnąć do Pana Boga dziękując za te wszystkie dary. Otóż owej niedzieli niebo było takie czyste, w duszy jakoś tak świąteczno po rannem nabożeństwie, a jagody na naszych wysokich czereszniach takie rumiane i dorodne, a dziatwa wiejska co je obrywała w koszyki taka wesoła biało obleczona, że i mnie koło nich wesoło było i miło. Kilku chłopaków i dwie dziewczynki drapiąc się jak wiewiórki po drzewach, na wyścigi rwali, które prędzej swój koszyk napełni, bo wiedzieli że gdy zliżą, dostanie im się spore dwie garście jagód; a że to niedziela była, za parkanem od sadu kilkoro drobniejszych dziatek zaglądało przez szpary, prosząc o jagody. Pan Bóg zarodził szczodrze słodkiego owocu, i nie żałuje go tysiącu małym wróbelkom, nie żałowało się więc i dzieciętom, i w koszulki nastawione dosyć jagodek spadło. Między niemi zbliżyła

się młoda kobieta z dziewczynką małą dwóletnią na rękach, która spiąwszy się z rąk matki na wierzch parkanu, prosiła rączką o jagody.

— Chodź tu Taniu, chodź tu — zawołałam ją i wzięłam dziecię przez parkan na swoją stronę, a ona dostawszy jagód znowu się do matki nazad pięła.

Dzieci na drzewach zaczęły ją wołać, a Tania zapomniawszy się śmiała się i zadarłszy główkę do góry szukała kto ją woła. Tymczasem matka obszedłszy w koło, przyszła za nią do sadu i na wielką jej uciechę usiadła za nią na trawie. Zaczęłyśmy z sobą rozmawiać, bo młoda kobieta była to bardzo uczciwa i przyjemna mołodyca, córka bogobojnych rodziców. Ojciec jej był starszym bratem przy cerkwi, w gromadzie powszechnie szanowany, i dobry gospodarz; ona prowadziła mu całe gospodarstwo, bo matka mocno była na siłach podupadła, a mąż jej za którego niedawno poszła, także pracowity, uczciwy i trzeźwy był człeczysko.

Kilka koszyków wybornych czereszni stało na trawie, a maleńka Tania co zjadła jedną jagódkę, to drugą niosła matce do ust, traktując ją koniecznie swoim dostatkiem. Ale matka usuwała zawsze jej rączkę i odwracała się od jagód.

— Czemu nie jecie czereszni? — pytałam się jej, myśląc że przez nieśmiałość nie chce skosztować naszych owoców. Podziękowała mi grzecznie nic nie mówiąc. Kilka razy daremnie ją prosiłam, nareszcie coś tak jak łza zabłysła jej w oku i rzekła:

— Mnie jeszcze grzech jeść jagody.

Dopiero parę lat minęło wtedy jak mieszkałam na wsi między poczciwymi Rusinami, nie znałam więc jeszcze wszystkich obyczajów tamtejszych. Zadziwiły mnie te słowa młodej kobiety i zapytałam się:

— Dla czego?

— Jeszcze tydzień do Świętego Jana — odrzekła i zamilkła.

Ciekawa byłam co się to znaczy, alem ją nie pytała, bo widziałam, że duża łza jak groch toczyła się jej po twarzy. Nie długo potem odeszła z dzieckiem, a ja rada wiedzieć o przyczynie jej smutku, byłabym się jednak nie dowiedziała nigdy

gdyby nie stara Holaczycha. Stara Holaczycha przędzie u mnie w zimie, w lecie plewie grzędy, nabożna staruszka, wie dużo rzeczy, piękne pieśni o sierotce, o św. Mikołaju, o św. Antonim, o polskiej koronie, o Turkach i Tatarach, warto ją posłuchać, i nie tęskno z nią posiedzieć. Przyszła ona już wieczorem do mnie przynosząc dzbanuszek poziomek, które uzbierała w lesie, i przysiadłszy sobie na ganku, przy xiężycu, opowiadała że tego roku osobliwie się wszystkie jagody zrodziły, że w lesie poziomek i czernic moc, i że za tydzień na św. Jana musi sobie uzbierać czernic na pierogi.

— Czy może i wy aż do św. Jana nie jadacie jagód? — spytałam się staruszki przypomniawszy sobie słowa Majdańcowej młodycy.

— A nigdy — odrzekła — już 30 lat nie jadam, i do śmierci nie będę.

— Powiedzcież mi, dla czego to tak moja babuniu? — zapytałam znowu.

— Bo to widzicie hołubko, posłuchajcie-no. Jak matce umrze jedno dziecię albo więcej, to tej matce nie godzi się nigdy jeść jagód przed św. Janem, i już tak powinna się powstrzymać i umartwić aż do śmierci. Bywało tak z dziadów i pradziadów, a która matka dobra, chętnie to robi dla swoich dziecinek. Bo widzicie hołubko, te maleńkie duszyczki gromadzą się tam i cieszą koło świętego Jana, a ten Wielki święty, gdy przyjdzie dzień jego święta, woła je wszystkie, hołubi i rozdaje im słodkie jagódki — jagódki przecudne i przekrasne co tam tylko w niebie bydź mogą. Otóż białe duszki się cieszą, a której dzieciny matka je i używa sobie na jagodach przed św. Janem, to ona dziecinka smutna nie bierze jagód od ś. Jana, bo mówi że jej jagody matka już zjadła, i zaraz jest krzywda tej dziecinie z takiej łakomej matki. A których matki nie kosztują jagód przed św. Janem, to one biorą od św. Jana rajskie jagódki i weselą się radośnie.

Ktożby tam był takiego serca żeby swojej dziecinie robił taki smutek, chyba jaka niecna i brzydka niewiasta, która na nic nie dba. Za takie łakomstwo grzech jest, a dobre matki poszczą na jagodach i jednają sobie i swoim dziatkom u Pana

Boga łaskę. I ja hołubko miałam jedną córeczkę, 7 lat jej było jak umarła. Bywało jak żyła i zdrowa biegała koło mnie a szczebiotała, jak się też to nieraz cieszyła jagodą, a gdybym była co miała a jej niedała, a ona płakała i prosiła, miarkujcie czyby mnie serce nie bolało? Albo gdyby inne dziatki się cieszyły, a ona krzywdę miała — czyby mnie macierzyńskie serce nie pękało? A toż tembardziej teraz, kiedy człowiek grzeszny może niewinnej duszy przysporzyć roskoszy i rajskiej uciechy, jakże nie przysporzyć? Mój Boże, moja Kasiunia umarła i poszła między aniołki, a ja stara na tym świecie nie mam nikogo żeby mi łyżkę wodę podał... sierotam się została... nieraz ciężki przednowek dogryza, nie ma chleba kawałka i człowiek głodny — ale choć rumiana jagoda na drzewie aż się prosi, aby nią zachłodzić się, to ja wolę zbierać łobodę i posną gotować jak skosztować owocu przed ś. Janem. Niech tam Pan Bóg i św. Jan mojej Kasi to nagrodzą....

Zapłakała stara Holaczycha, otarła oczy, westchnęła i dalej mówiła:

— Są tu już teraz ludzie na świecie co nie chcą temu wierzyć, i znajdzie się może nawet i która matka, co powiada że to nieprawda i zajada co się wlezie; ale niech tam wszystko Pana Boga chwali, choćby to i nie tak było jak my rozumiemy, zawsze lepiej umartwić się bo to nigdy nie szkoda, i Panu Bogu chwała.

— Coście się tak hołubko zadumali? — rzekła znowu po chwili patrząc na mnie. Ot pewnie myślicie o swoich aniołkach coście ich potracili. Ha coż robić, spodobały się Panu Bogu, i tam ich trzeba było. Macie w niebie pośredników co się za was modlą. Mówią: szczęśliwa taka matka. I wy się niefrasujcie, kiedyś pójdziecie do nich, a co to będzie uciechy, gdy będzie komu was przyjmować w niebie. One do mamy wszystkie przylecą, i dopiero tam wtedy dowiecie się, czy to prawda o świętojańskich jagodach. Radzę wam hołubko nie jadajcie i wy jagód przed św. Janem, zobaczycie że wam to na dobre wyjdzie, a wasze dziecinki dziękować wam kiedyś będą.

— Moja babuniu — odpowiedziałam staruszce po chwili zadumania, a miałam także serdeczną łzę w oku — posłuchaj-

cie co ja wam znowu powiem. Podobało mi się bardzo coście mi opowiadali o świętojańskich jagodach, i dobrze robicie że sobie zakładacie takie umartwienie przez miłość macierzyńską dla waszych zmarłych dziatek. Ten niewinny post nie może bydź nieprzyjemny Panu Bogu. Ale widzicie, gdy Pan Bóg zabiera z tego świata niewinne dziatki które grzechu nie mają, to one tam w niebie używają takiej nieprzerwanej roskoszy, że niepodobieństwo jest aby mogły tam jakowegoś smutku doznać, albo jaką krzywdę cierpieć. Tak nas nawet naucza Pismo Święte. Więc to nie może bydź aby one smuciły się tem, że im święty Jan odmawia jagód przez łakomstwo ich matek. Najpierwiej dla tego, że dusza czysta i święta nie potrzebuje i nie używa pokarmu ziemskiego, a potem Bóg sprawiedliwy nie dozwala cierpieć niewinnym dzieciom za żadne jakiekolwiek grzechy rodziców. Prawda babuniu, że Pan Bóg nakazuje modlić się za dusze zmarłych, i bardzo mile przyjmuje nasze ofiary, nasze modlitwy, nasze posty za nich, i Pismo Święte uczy nas, że możemy nawet przez szczere i serdeczne uczynki nasze wyzwolić nie jedną duszę z mąk czyścowych i przyspieszyć jej zbawienie wieczne; powinniśmy więc modlić się i ofiarować co możemy za dusze zmarłych, a zwłaszcza swoich; która więc matka utraciła takie dziatki, które już grzeszyć mogły, bardzo dobrze aby za nie ofiarowała ów post na jagody i nigdy nie zapomniała o nich, bo grzechy dzieci spadają i na rodziców które je wychowały; kto zaś takich dziatek nie utracił, niech za dusze wszystkich zmarłych ofiaruje Panu Bogu swoją szczerą chęć i umartwienia, a matki dobre i pobożne niech jeszcze do tego proszą Boga codziennie, aby ich żyjącym dzieciom błogosławił i chronił od grzechu. Że zaś święty Jan jeszcze małem dzieckiem będąc już żył świątobliwie i w wielkich umartwieniach, więc pożyteczna i zbawienna rzecz będzie przez jego przyczynę upraszać dziatkom zmarłym królestwo niebieskie, a dziatkom żywym łaskę cnoty. I ja moja kochana babuniu chętnie z wami zachowam ten starodawny zwyczaj waszych pobożnych prababek, i jagód jeść nie będę choćby cały rok, ofiarując to Panu Bogu przez przyczynę świętego Jana, za tego mojego jedynego syna który mi został, aby rósł w łasce Bożej

i cnocie; i za dusze wszystkich zmarłych, które potrzebują naszej modlitwy; bo tamte moje dzieciny pomarły maleńkie, więc czyste, anielskie ich dusze naszych ofiar nie potrzebują; będą się zaś radować z naszych dobrych uczynków, i za nas jeszcze modlić się będą.

— Może to i tak jest jak wy mówicie — odrzekła Holaczycha — Bogu niech będzie chwała a duszom zmarłym wieczne odpoczywanie!

— Amen — odpowiedziałam.

Xiężyc wypłynął na środek nieba, a drobne gwiazdeczki błyszczały i drżały jak łezki zawieszone. Dzbanuszek poziomek poszedł nazajutrz dla małych biednych dziatek a za sprzedane świętojańskie czereśnie była msza święta w cerkwi za dusze zmarłych. *B. E.*

Jak Moskale kradną?

Wiecie zapewne mili ludzie, że nie ma w świecie złodziei takich sprytnych jak Moskale. Już to u nich tam taki szkaradny zwyczaj, iż złodziejstwo żaden sobie nawet za grzech nie uważa; jużci smutna to rzecz, ale cóż na to poradzić. Także jest u Moskali wielka sprytność złodziejska i zmyślność wielka, więc nieraz aniby się człowiekowi uczciwemu nie śniło, jakich oni sposobów używają, aby coś ukraść. Zaś abyście nie myśleli, że ja sobie tak zmyślam jeno i obgaduję owych rabusiów, to wam opowiem kilka wypadków takiego złodziejstwa moskiewskiego, a przekonacie się o prawdzie.

W jednej wsi w Królestwie polskiem był pewien poczciwy gospodarz, Michał Śróba. Miał ci on gospodarstwo piękne, dobytek niezły, a między bydłem jednego wołu strasznie leniwego, co to się zdarza czasami. Otóż pewnego razu pomyślał sobie Michał tak:

— Poprowadzę tego wołu na jarmark i sprzedam, bo mi tylko męczy i mitręży wszystkie inne.

Jarmark był w niedalekiem miasteczku, więc wziął woła na powróz i ciągnie go do miasta. A iż wolisko był strasznie

leniwy, kazał Michał chłopcu swemu Jasiowi popędzać. Zaś mimo popędzania ociągał się tak wolisko, iż go Michał musiał włóczyć z całej siły, i nareszcie przełożył sobie powróz przez ramię i tak burego wlókł a ciągle na chłopca wołał aby poganiał.

Zobaczyli to dwaj Moskale, okruteczni złodzieje. Jużci wół spodobał im się bardzo od razu, i wnet radzić zaczęli, jakby go dostać. I patrzcie, jak sobie w tem poradzili.

Jeden Moskal poszedł naprzód krzakami, bo to było w lecie, narwał wiśni i rozsypał je w takiem miejscu, gdzie droga w lesie kręciła się nagle w bok, potem ścieżką przez rów w pole. Więc za owym zakrętem ukryli się obaj Moskale i czekali. Skoro Jasiek do owych wiszni doszedł, zaczął je zbierać, a ojca z wołem puścił naprzód. Wolisko też jakoś się udrożyło i szło lepiej, więc Michał szedł sobie i ciągnął a o chłopca nie pytał. Kiedy tak minął ukrytych Moskali, wyszli oni za nim po cichu. Jeden uchwycił wołowi powróz przedełbem, i szedł a opierał się jak istny wół; zaś drugi spuścił woła z powrozu i wciągnął go za rogi w las. Zaś ów pierwszy założył sobie na kark powróz, i kiedy Jasiek wyzbierawszy wiśni już dobiegał, zaczął się opuszczać i opierać, aż go powróz dusił.

Kiedy chłopak zobaczył taki dziw, bo Moskala na powrozie zamiast woła, począł na całe gardło wołać:

— Tatusiu! A tośta woła zagubili a Moskala dusicie, że mu już wej ślepie na wierzch wylazły!

Stary Michał obejrzał się, a zobaczywszy wszystko, aż się przeżegnał z zadziwienia:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! O najsłodsze imię Jezus! A słowo stało się ciałem! Wszelki duch chwali Pana Boga! Jaśku! A to co się stało! Jezus Marya!

— Abo ja wiem co się stało — rzeknie Jasiek — Tośta woła gdzieś podzieli a Moskala na powrozie włóczycie, ażeśta mu gardziel powrozem oberznęli.

— No! Aleśty widział, jak się to stało — powie Michał.

— A jak ja miał widzieć, kiedym tam na ścieżce przystanął troche wedle wiszeń, co leżały piękniutkie na ziemi, a

kiedym was dogonił to już wołu nie było a Moskal ślepie wywalał — powie Jasiek.

— Dam ja ci tu wiśnie — huknął Michał — i najpierw Jaśkowi dał smarowanie po grzbiecie, a potem jął zaturbowany hałasić.

— Na Boga! a dyć tu czary jakieś! W imię Ojca i Syna i Ducha! Matko Chrystusowa a to co zaś!

Tymczasem Moskalisko podniósł się i począł sobie wołać składając ręce:

— *Pomiłuj batku, pomiłuj!* Za grzechy Bóg skarał mnie i zamienił w woła, aż dziś wybiła moja godzina, i ja znów jestem człowiek, ale twój.

A Michał zacznie krzyczeć:

— A kaci mnie tam z ciebie i po tobie! A nieszczęśliwa godzina moja taka! A żebyś już był czekał, ażbym cię był sprzedał. A nie mogłeś hultaju u innego kończyć pokutę a nie u mnie. A ruszajże sobie i przynajmniej powróz oddaj, bo kiedyś w płaszczu żołnierskim, toby człek mógł mieć jeszcze jakieś turbacye o ciebie.

Wziął więc Michał powróz pod pachę i poszedł samowtór z Jaśkiem na jarmark, bo mu tam wypadło jeszcze kupić tego i owego. Przez drogę nie mało się jeszcze nadziwił i nalamentował, a Jasiek już szedł cicho i ani słowa nie pisnął, aby nie narazić się na nowe smarowanie za swoje łakomstwo. Zaś Moskal puszczony odszukał swego kamrata z wołem, poszli inną drogą i przed miastem sprzedali jakiemuś handlarzowi woła burego.

Michał z Jaśkiem porobili sprawunki, a naostatek poszli na targowisko bydła, żeby się też przekonać, jak tam płacą. Chodzą ci tak i rozglądają się, aż naraz ujrzał Michał znowu swego burego woła. Więc okrutnie zdziwiony woła na syna:

— Jasiek! patrzno! wszak to nasz bury tam oto w tej gromadzie.!

— A toćto on — krzyknie Jasiek.

— Jucha Moskalisko — powie zdziwiony Michał — znowu się kary dorobił. Potem poszedł do burego woła nachylił się i powie mu do ucha:

— A widzisz rakarzu, na co ci to znowu przyszło? Toś ani na jeden dzień człowiekiem nie został, moskiewska naturo! Pewnieś kogo okradł po drodze, i myślisz teraz jeszcze, że cię kupię. Nie głupim ja! Dość raz z ciebie straty! Niech inny z tobą się żga, jeżeli ujdziesz rzeźnika, coby było najpotrzebniejsze na ciebie.

Ale iż się nic złego nie ukryje, tak i ta historya wydała się niebawem jakimś przypadkiem. Poznał Michał dopiero, jak się okrutecznie dał oszukać, i choć ta Moskalowi setnie grzbiet palicą wysmarował, jednakowoż szkoda przepadła na wieki. Pamiętajcież moi mili nigdy nie wierzyć baśniom, aby się człek mógł zamienić w jakieś zwierze, bo i wam może się trafić taki smutny przypadek.

Przestrogi dobrego przyjaciela.

O mieszkaniach wiejskich.

Wiecie już o tem moi mili, iż aby człowiek był zdrowym, powinien starać się o czyste powietrze, ale czasem już dom jest tak postawiony, że trudno w nim czyste powietrze utrzymać

Jeżeli dom stoi w nizinie nad rzeką, pod który co rok woda podchodzi, to będzie wilgoć, także jeżeli stoi wśród bagnisk, stawów, jeziorek i kałuży błotnistych; jeżeli gnojówka jest pod oknami i smrodem swoim zaraża powietrze.

Izby nizkie w domach także skracają życie, tembardziej, jeżeli w nich razem z ludźmi mieszka krowa albo świnia, co się u nas zdarza. Gdzie dużo ludzi sypia, w piecu dzieci, za piecem parobcy, gdzie się w jednej i tej samej izbie mieszka, je, spi, gotuje, pierze i suszy mokre chusty. W takich mieszkaniach często pojawia się gnilec, łożnica i rozmaite krosty.

Wiele jest także chałup, gdzie nie ma podłogi z desek, ale ubita ziemia. Tu woda, pomyje i inne plugastwa w ziemię wsiąkają, a potem zarażają powietrze. Także tam gdzie są chaty dymne czyli kurne, zdrowie być nie może, bo dym gryzie i psuje oczy i piersi.

Kto dom stawia, niechże wybiera wzgórek, zdala od bagien i wód stojących, blizko wody zdrowej, ale nie nizko żeby nie podmakało. Najprzód trzeba zrobić podmurowanie choć na łokieć, a na tem dopiero układać zręby z drzewa wyschłego, zatykając mchem szpary. Domu nie trzeba zaraz wylepiać gliną, ani bielić, aż na drugi rok gdy dobrze wyschnie; na ziemi układać dyle, a między nie nasypać suchego gruzu z murów, a kto nie ma pod ręką to suchego piasku niech nasypie. Izby powinny być tak wysokie, żeby najtęższy chłop na palcach stojący, ręką powały nie dostał. Okna na południe lub zachód wysokie i szerokie do otwierania. Drzwi tak wysokie, żeby sobie wchodząc głowy nie rozbijać. Komin wyprowadzić nad dach.

Stajenka, obórka, chlew, niech będą opodal od domu, a z nich ścieki do gnojowni wykopanej i mocno ubitej, a kto może kamieniami obmurowanej. Dobrze też nad gnojownią zbudować wychodek, jak mają po dworach i plebaniach, aby tam ludzie chodzili z naturalną potrzebą, bo i nie będzie plugastwa wedle domu i nawóz się bardzo poprawi.

Domek twój braciszku niech będzie obielony, aby był jasny jak lilijka i miły Panu Bogu, który się białymi aniołami otacza; w koło domu wybrać rowek i poprowadzić od niego na dół ściek, to będzie w mieszkaniu sucho i zdrowo.

Blizko domu lnu i konopi nie mocz, bo smród zgniłego zielska zaraża powietrze i sprowadzi ci chorobę do domu. Niech twoja poczciwa kobiecina często śmiecie wymiata i utrzymuje czystość, a będziesz zdrów ty i żona twoja i dziatki twoje, a i czeladka twoja — czego ci z serca dobry przyjaciel życzy.

O powietrzu.

Nie dość jeść i pić, ażeby w zdrowiu żyć, do tego trzeba nam jeszcze i świeżego powietrza. Jako ryba wyjęta z wody żyć długo nie może i nędznie ginie, tak też i człowiek w smrodliwem i dusznem powietrzu w zdrowiu ostać się nie może Człowiek wciągając powietrze przy oddechaniu, ożywia krew, odnawia ją, odświeża; a wypuszczając ze siebie, daje powietrze zepsute i niezdrowe.

To też gdzie w izbie dużo naraz ludzi oddecha, powietrez jest duszne i niezdrowe; w ciasnych wiejskich kościołach podczas nabożeństwa, kiedy ludzi jest natłok, to tak się powietrze psuje, że nim ciężko oddechać. Gorzej stokroć w karczmisku, bo tam jeszcze do złego powietrza dołącza się smród z gorzałki. Zatkajmy komu gardło a wnet pocznie się dusić, a wkrótce i udusi się. Kiedy się oddecha powietrzem zepsutem,

to jest także podobnem do uduszenia powolnego, bo wtedy krew się zaraża, zamiast odświeżyć i człowiek łatwo choroby, a za czasem nabawi się śmierci.

Żeby powietrze przyczyniało się do zdrowia, powinno być świeże i czyste, bo jeżeli jest długo w jednem miejscu zamknięte, to się psuje. Do piwnic i głębokich studzien nie należy wchodzić, bo można paść trupem. Daleko lepiej jest przódy światło zapalone spuścić. Jeżeli zgaśnie, to znak że tam powietrze jest śmiertelne, więc przewietrzyć trzeba.

W izbie zawsze zamkniętej jest bardzo szkodliwe, bo powietrze zatruwa się także gdzie jest wilgoć, śmieci i brudy, bielizna mokra lub spocona; kapusta w beczce, śmierdzące mięso, ziela pachnącego wiele, ptastwo, króliki — wszystko to zanieczyszcza powietrze i różne choroby sprowadza.

Od chorych nieochędożnie utrzymywanych także powstaje zaduch; najniebezpieczniejsza zaś pochodzi w zimie z pieców zawczasu zatkanych, kiedy się jeszcze nie wypaliło dobrze i pląsze się płomek niebieskawy, albo kiedy piec jest za nadto rozpalony. Wtedy ludzie siedzący lub śpiący w takiem mieszkaniu dostają mocnego bólu głowy i szumu w uszach, a jeżeli nie przewietrzy się rychło, umierają.

Śmierć taka zowie się zagorzeniem.

Starać się więc trzeba braci moi, ażeby w izbie zawsze było świeże powietrze, żeby w mieszkaniach waszych panowała czystość. Trzeba izby przewietrzać, a nawet w zimie okna otwierać, chociażby na krótką chwilę, wykadzać octem, lejąc go na rozpaloną cegłę. — Nie zaniedbujcie tego i róbcie jak wam radzę, chyba że wam życie niemiłe i nie dbacie o zdrowie ani swoje, ani waszych dziatek.

RÓŻNOŚCI.

Zrzęda. Ze trzy lub cztery domy od końca wsi Samozwisk mieszka stary gospodarz imieniem Balcer. Jest to stary mruk, gdyra, zawadyaka, z nikim się nie zgodzi, a w każdego zawadzi: nikomu poczciwego słowa nie da, nigdy się nie rozśmieje, zawsze pomroczny, zły, ciągle w ziemię patrzy i zawsze coś mruczy pod nosem.

W sąsiedztwie zaś jego mieszka Walek, człowiek uczciwy, potulny, cichy, ludzki, usłużny, a wesoły i dowcipny aż miło. Dla tego też wszyscy kochają Walka, a Balcera unikają jak . . . Boże odpuść! niech już nie wymówię bo to grzech.

Zdarzyło się, że od Balcera odszedł parobek, bo u niego długo służebni nie posiedzą. A właśnie i Walek potrzebował parobka, bo mu jego wzięto do wojska. Idzie przeto w dobrej myśli do Balcera dowiedzieć się na pewne, czy go odprawił, i dla

czego, boby go chciał przyjąć. Ledwie wszedł Walek do izby, i jak się należy pochwalił Pana Boga, Balcer ani nie powstał, tylko jak rura jaki siedział na ławie w czapce na głowie a gdy się obejrzał i obaczył, że to sąsiad Walek przyszedł do niego, zaraz rubasznie go zapytał:

— Czegóż chcecie?

— Kochany sąsiedzie — odrzekł Walek — szukam parobka, więc przychodzę do was....

— Co? — przerwał Balcer — co? u mnie szukacie parobka? czy to ja stręczarka?..

— Ale gdzie tam! — odparł zakłopotany Walek — wasz dawniejszy parobek Kuba chce u mnie służyć, więc przychodzę do was się wywiedzieć, czemużeście się z nim rozłączyli.

— A czemubym się nie miał z nim rozłączyć? Czy to my małżeństwo żebyśmy się nie mogli rozłączyć?

Więc czemuście go odegnali?

— Psy się tylko odgania, a to człowiek nie pies.

— I! to na jedno wychodzi sąsiedzie Balcerze — zawołał cokolwiek zniecierpliwiony Walek — to mi powiedzcie, czemuście Kubę oddalili?

— Bo mi się tak podobało.

— To dobrze, ale czemu wam się tak podobało?

— A to znowu komu co do tego? czy nie mam do tego prawa? a to dobre przyjść tu do mnie, i kazać mi się tłumaczyć, czemum ja parobka odprawił!

— Żyw Bogu sąsiedzie, to mi ani na myśl nie postało, ale mnie to cieszy, żem poznał wasze dobre serce.

— A tom ciekawy zkąd?

— Bo nie chcecie nic złego o waszym słudze powiedzieć, bo gdybyście wiedzieli o nim co dobrego, tobyście już powiedzieli; zapewne uczciwość jego.....

— Uczciwość jego nienaganna.

— To zapewnie hardy, nygus albo nieporządny?

— Nic z tego.

Że ma wadę jakąś to pewna, więc go nie przyjmę.

— A czemu go nie macie przyjąć? czy dla mnie ma biedny parobek stracić służbę? ja tego niechcę, ja na to nie pozwolę.

— Aha! rozumiem, więc gdy za nim sami przemawiacie, toć go już przyjmę.

— Za kim ja przemawiam? ja za nikim przemawiać nie myślę, bo ja za nikogo nie ręczę.

— Sąsiedzie, ja was nie rozumiem, raz tak, drugi raz tak.

— Ja też chcę, żeby mnie nikt nie rozumiał, a po co ma mnie kto rozumieć? Śliczne rzeczy! ja tego nie chcę.

— A więc szkoda sąsiedzie, żem tu do was przyszedł, gdy każde słówko was razi.

— A kto wam kazał tu przychodzić? ja wam nie kazał, mogliście nie przychodzić, możecie wcale nie przychodzić, może nikt nie przychodzić, to dobrze, tem lepiej, ja nikogo nie potrzebuję.

— Bądźcie zdrowi sąsiedzie! — zawołał rozsierdzony Walek — niech was P. Bóg ma w swojej opiece, bo się z wami już nie dogadam.

— Ja nie potrzebuje zdrowia, jam nie chory, ja nic nie potrzebuję, ale nie chcę, żeby kto odemnie co potrzebował. Z P. Bogiem! owszem! wszyscy z P. Bogiem! bo to przyjdą tylko na to, aby dom cały przetrząsnąć, aby za słówko człeka schwytać; oho! ale ja ostrożny ptaszek nie dam się złapać w sidła! rychlej wstań, kto chcesz mnie oszukać!

I z temi słowy wstał sąsiad Balcer, czapkę jeszcze bardziej na uszy nasunął, wejrzał za Walkiem, a potem zatrzasnął drzwi, i poszedł dalej mruczeć.

Otóż masz sąsiada! Dobry i ludzki sąsiad — to niebo; ale zły i nieznośny — to czyste piekło!

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Z drukarni E. Winiarza.